
SŁOTA

STRUGI ULEWNYCH DESZCZÓW I STRUNY HARFIANE
RÓWNAJĄ POETYCZNIE MYŚLĄCY LUDZISKA,
JA, — ILEKROĆ SIĘ W TAKI INSTRUMENT DOSTANĘ, —
JESTEM JAK ZGRZYT, CO W RZEWNĄ MELODIĘ SIĘ WCISKA.

Z KOŁNIERZEM PODNIESIONYM PRAWIE WYŻEJ NOSA,
POLICZKOWANY WODĄ, PÓŁ NIEMY I GŁUCHY,
CZUJĘ, ŻE WE MNIE SĄCZĄ ROZMOKŁE NIEBIOŚA
DRESZCZ WSTRĘTNY, JAK MIŁOSNE SPOJRZENIE STARUCHY.

NIBY CAŁUS OBMIERZŁY WODA W BUTACH MLASKA,
Z PODESZWĄ NIEODPORNĄ WIODĄC FLIRT ZAŻARTY,
KTÓRY CZASAMI MAĆCĘ, KŁNĄC BOGI I CZARTY,
GDY MNIE BŁOTEM OBRYŹDŹE PĘDZĄCA KOLASKA.

A JEDNAK, KIEDY SŁOTA DO OKNA ZASTUKA,
ZAWSZE MIĘ COŚ PRZYMUSZA WYBIEDZ Z DOMU KU NIEJ,
CHOĆ WZBRANIA KATARALNO-MORALNA NAUKA
DREPTAĆ PO MOKRYCH BRUKACH, JAK PO KWIETNEJ RUNI.

COŚ ZACHEĆCA, COŚ KAŻE, KAPRYŚNIE A MILE
WICHURZE SPŁATAĆ FIGŁA Z PRZEJMUJĄCYM DRESZCZEM,
Z NIĄ, NA NIEJ, JECHAĆ NIBY NA ŁYSEJ KOBYLE
I NA MIASTO ZAMGLONE, ROZKISŁE, SPAŚĆ Z DESZCZEM.

STANISŁAW MIŁASZEWSKI